

A large, leafless tree with a thick trunk and sprawling branches stands in a misty, open landscape. The background is a soft, hazy grey, suggesting a foggy or overcast day. The tree's silhouette is dark against the lighter background.

Laureat
NAGRODY
NOBLA
2017

Pogrzebany

KAZUO ISHIGURO

olbrzym



Rozdział 1

Długo moglibyście tu szukać krętych dróg i sielskich łąk, z których zasłynęła później Anglia. Zamiast nich całymi milami ciągnęła się spustoszona, nieuprawna ziemia; tu i tam skaliste wzgórza i posępne wrzosowiska przecinała nieudeptana ścieżka. Większość pozostawionych przez Rzymian dróg uległa już wówczas zniszczeniu i pozarastała, często bezpowrotnie. Nad moczarami i rzekami unosiły się lodowate opary, w których świetnie czuły się ogry, wciąż zamieszkujące te ziemie. Mieszkający w pobliżu ludzie – można się zastanawiać, jak wielka desperacja skłoniła ich do osiedlania się w tak ponurych miejscach – bali się z pewnością tych stworzeń, których posapywanie słychać było na długo przed tym, nim z mgły wyłoniły się ich zniekształcone postaci. Pojawienie się owych monstrualnych stworów nikogo jednak nie dziwiło. Spotkanie z nimi traktowano jako jedną z bolączek dnia powszedniego, a w tamtych czasach nie brako-

wało przecież zmartwień. Jak wyżywić się z nieurodzajnej ziemi, jak nie zużyć zbyt szybko całego drewna na opał, jak uchronić się przed zarazą, która w jeden dzień mogła uśmiercić tuzin świń i sprawić, że na policzkach dzieci pojawiały się zielone plamy?

Zresztą ogry nie były takie złe, pod warunkiem że się ich nie prowokowało. Trzeba było pogodzić się z tym, że co jakiś czas, zapewne w wyniku niejasnych zatargów, do których dochodziło w ich szeregach, jedna z tych bestii wpadała do wioski okrutnie rozżłoszczona i chociaż ludzie pokrzykiwali i wymachiwali bronią, siała popłoch i zniszczenie, raniąc każdego, kto nie dość szybko zszedł jej z drogi. Albo że czasami jakiś ogr porywał dziecko i znikał z nim we mgle. Ludzie tamtej epoki musieli podchodzić do takich wydarzeń z filozoficznym dystansem.

W jednym z takich miejsc, w cieniu urwistych pagórków na skraju mokradeł, żyła para starszych ludzi, Axl i Beatrice. Być może nie były to ich pełne imiona, ale tak właśnie dla ułatwienia będziemy ich dalej nazywać. Mógłbym powiedzieć, że para wiodła samotne życie, lecz w tamtych czasach niewielu ludzi było „samotnych” zgodnie z naszym rozumieniem tego słowa. Szukając ciepła i bezpieczeństwa, wieśniacy gnieździli się w ziemiankach, niejednokrotnie wydrążonych głęboko w zboczu góry i połączonych ze sobą tunelami i osłoniętymi korytarzami. Nasza starsza para mieszkała w obrębie takiej właśnie rozległej podziemnej kolonii – słowo „budowla” byłoby tutaj nieco na wyrost – razem z mniej więcej

sześćdziesięcioma innymi wieśniakami. Gdyby ktoś wyszedł z tej kolonii i przez dwadzieścia minut obchodził wzgórze, dotarłby do następnej osady, która na pierwszy rzut oka nie różniła się niczym od poprzedniej. Sami mieszkańcy dostrzegliby jednak z pewnością wiele odmiennych szczegółów, zarówno tych, z których byli dumni, jak i tych, których się wstydzili.

Nie chciałbym sugerować, że tak właśnie wyglądała w owych dniach cała Brytania; że w czasach, kiedy gdzie indziej na świecie rozkwitały wielkie cywilizacje, my tkwiłszy jeszcze w epoce żelaza. Gdybyście mogli przemierzać swobodnie kraj, z pewnością trafilibyście na zamki, w których zabawiano się przy dźwiękach muzyki, wykwintnie ucztowano i uprawiano sporty, lub klasztorry, gdzie zakonnicy ślęczeli nad księgami. Ale nie ma się co łudzić. Nawet dosiadając silnego wierzchowca i przy dobrej pogodzie, można było wędrować całymi dniami i ani razu nie dostrzec wyłaniającego się spomiędzy drzew zamku czy klasztoru. Najczęściej trafilibyście do osad podobnych do tej, którą przed chwilą opisałem, i jeśli nie mielibyście podarków w postaci jedzenia lub odzieży albo nie bylibyście po zęby uzbrojeni, nie wiadomo, z jakim spotkalibyście się przyjęciem. Przykro mi, że odmalowuję taki obraz naszego kraju w tamtej epoce, lecz tak to wyglądało.

Wracając do Axla i Beatrice. Jak już wspomniałem, starsza para mieszkała na obrzeżach kolonii, w miejscu, gdzie nie byli zbyt dobrze chronieni przed żywiołami

i prawie nie czerpali korzyści z ognia płonącego w Wielkiej Izbie, w której wszyscy zbierali się wieczorami. Niewykluczone, że wcześniej zajmowali kwatery bliżej ognia i mieszkali razem ze swoimi dziećmi. Dokładnie takie myśli przychodziły do głowy Axlowi, kiedy przed świtem leżał godzinami obok pogrążonej we śnie żony i serce ścisnęło mu niedające zasnąć poczucie jakiejś nie nazwanej straty.

Być może dlatego właśnie tej nocy wstał z posłania, wymknął się po cichu na zewnątrz i siadł na starej spazczonej ławce przy wejściu do kolonii, by zaczekać na pierwszy brzask. Była wiosna, lecz od ziemi ciągnął ziąb, nawet gdy Axl otulił się szczelniej płaszczem Beatrice, który zabrał, wychodząc na zewnątrz. Mimo to był tak bardzo zatopiony w rozmyślaniach, że kiedy zdał sobie sprawę, że zmarzł do szpiku kości, na niebie zgasły już wszystkie gwiazdy, na horyzoncie pojawiła się jasna smuga, a z mroku dobiegły pierwsze głosy ptaków.

Powoli wstał z ławki, żałując, że tak się zasiedziało. Choć cieszył się dobrym zdrowiem, długo nie mógł pozbyć się ostatniego przeziębienia. Teraz też czuł strzykanie w nogach, ale wracając do środka, był zadowolony z siebie; tego ranka zdołał bowiem przypomnieć sobie wiele rzeczy, które od pewnego czasu mu umykały. Co więcej, miał wrażenie, że jest bliski powzięcia pewnej zasadniczej decyzji – takiej, która była odkładana zdecydowanie zbyt długo – i czując, jak wypełnia go radość, chciał jak najrychlej podzielić się nią z żoną.

W podziemnych korytarzach było nadal zupełnie ciemno i w drodze do drzwi swojej izby Axl musiał obmacywać ściany. Wiele takich „drzwi” w obrębie kolonii było w rzeczywistości sklepionymi przejściami, jedynie z symbolicznym progiem. Zdaniem mieszkańców, tego rodzaju otwarta przestrzeń pozwalała im zachować prywatność, a jednocześnie korzystali z ciepła dochodzącego z Wielkiej Izby i pomniejszych palenisk, które tliły się wewnątrz kolonii. Izba Axla i Beatrice, położona daleko od jakiegokolwiek paleniska, miała jednak coś, co można by uznać za autentyczne drzwi: dużą drewnianą ramę wypełnioną splecionymi gałązkami, pędami dzikiego wina i łodygami ostów. Każdy wchodzący musiał ją odstawiać na bok, ale chroniła Axla i Beatrice przed chłodnymi przeciągami. On obyłby się co prawda świetnie bez tych drzwi, jednak dla niej z czasem stały się przedmiotem szczególnej dumy. Po powrocie do izby często zastawał żonę w trakcie wyciągania z ramy zeschniętych gałązek i zastępowania ich świeżymi, zebranymi w ciągu dnia.

Starając się robić jak najmniej hałasu, Axl przesunął owego ranka ramę na tyle, na ile było to potrzebne, by wcisnąć się do środka. Światło brzasku sączyło się przez niewielkie szpary w zewnętrznej ścianie. Dostrzegał już przed sobą własną dłoń oraz niewyraźny zarys leżącej na posłaniu z darni Beatrice, która wciąż spała smacznie pod grubymi derkami.

Kusiło go, by zbudzić żonę, miał bowiem silne przekonanie, że jeśli porozmawia z nią już teraz, wszelkie

opory, jakie mógł żywić przed podjęciem decyzji, zostaną ostatecznie przełamane. Ponieważ jednak do chwili, gdy budzili się sąsiedzi i zaczynał roboczy dzień, zostało trochę czasu, przycupnął na niskim zydłu w rogu izby i siedział na nim, okutany w płaszcz żony.

Zastanawiał się, jak gęsta będzie mgła tego ranka i czy kiedy się rozjaśni, zobaczy jej strzępy sączące się przez szpary w ścianie. Potem jednak przestało go to interesować i wrócił myślami do tego, co zajmowało go przed chwilą. Czy zawsze żyli w ten sposób, na peryferiach tej społeczności? Czy też kiedyś wyglądało to zupełnie inaczej? Wcześniej, na dworze, wróciły do niego luźne okruchy pamięci: przypomniał sobie chwilę, gdy szedł głównym korytarzem ich kolonii, obejmując ramieniem jedno ze swoich dzieci i uginając lekko kolana, nie tak jak teraz, ze względu na podeszły wiek, lecz by nie zaczepić w półmroku głową o belki sufitu. Dziecko chyba coś do niego powiedziało, coś zabawnego, bo oboje głośno się zaśmiewali. Teraz jednak, podobnie jak i wcześniej, nie potrafił zatrzymać tych okruchów na dłużej i im bardziej starał się skupić, tym bardziej się rozmywały. Być może były to tylko starcze przywidzenia. Być może Bóg nigdy nie obdarzył ich dziećmi.

Może was dziwić, dlaczego Axl nie zwrócił się do sąsiadów, by pomogli mu rozjaśnić mroki niepamięci, nie było to jednak takie proste, jak może się wydawać. W tej społeczności rzadko bowiem dyskutowano o tym, co działo się dawniej. Nie twierdzą, że był to temat tabu.

Mam na myśli to, że przeszłość skrywała się chwilami we mgle tak samo gęstej jak ta, która wisiała nad moczarami. Wieśniakom nie przychodziło po prostu do głowy, by zastanawiać się nad przeszłością – nawet tą zupełnie niedawną.

Weźmy choćby to, co dręczyło Axla od pewnego czasu: był przekonany, że jeszcze nie tak dawno żyła wśród nich kobieta z długimi rudymi włosami i że pełniła ona ważną funkcję w ich społeczności. Za każdym razem, gdy ktoś się zranił albo zachorował, posyłano natychmiast po rudą kobietę, tak biegłą w uzdrawianiu. Teraz jednak zaginęła po niej wszelki ślad i nikt najwyraźniej nie przejmował się tym, co się stało, nikt w ogóle nie żałował, że jej zabrakło. Kiedy pewnego ranka Axl wspomniiał o niej trzem sąsiadom, z którymi rozkopywał zmarzniętą ziemię, ich reakcja świadczyła, że naprawdę nie mają pojęcia, o czym mówi. Jeden z nich przerwał nawet robotę, usiłując coś sobie przypomnieć, lecz w końcu pokręcił głową.

– To musiało być dawno temu – powiedział.

– Ja też nie przypominam sobie w ogóle tej kobiety – rzekła Beatrice, gdy pewnej nocy poruszył z nią ten temat. – Może wyśniłeś ją sobie, by zaspokoić jakieś swoje potrzeby, Axl, choć masz przecież przy sobie żonę, i to taką, która nosi się bardziej prosto od ciebie.

To było ubiegłej jesieni, gdy leżeli obok siebie na łóżku w kompletnej ciemności, słuchając kropel deszczu bębniących o ściany.

– To prawda, że prawie w ogóle się nie postarzałaś przez te wszystkie lata – przyznał Axl. – Ale ta kobieta wcale mi się nie przyśniła i ty też przypomniałabyś ją sobie, gdybyś tylko chwilę się zastanowiła. Zaledwie przed miesiącem zapukała do naszych drzwi, zacna dusza, i zapytała, czy czegoś nam nie przynieść. Na pewno to pamiętasz.

– Dlaczego miałyby nam coś przynosić? Była z nami w jakiś sposób spokrewniona?

– Nie sądzę, księżniczko. Była po prostu miła. Na pewno pamiętasz. Często do nas zaglądała. Pytała, czy nie jest nam zimno i czy nie jesteśmy głodni.

– Ciekawi mnie, Axl, jaki miała interes, żeby tak nas wyróżniać?

– Też mnie to wtedy intrygowało, księżniczko. Pamiętam, jak myślałem, że ta kobieta opiekuje się chorymi, a przecież oboje jesteśmy tak samo zdrowi jak każdy w tej wiosce. Może krążą pogłoski o zbliżającej się zarazie i przychodzi, żeby nas doglądać? Okazało się jednak, że nie wybuchła żadna zaraza, a ona była po prostu miła. Teraz, kiedy o niej rozmawiamy, przypominam sobie nawet więcej. Stała tu i mówiła, żebyśmy nie przejmowali się dziećmi, które z nas dworują. Tak było. A potem wszelki ślad po niej zaginął.

– Ta ruda nie tylko jest postacią z twego snu, Axl, ale musiała być głupia, skoro przejmowała się dziećmi i ich zabawami.

– To samo sobie wówczas pomyślałem, księżniczko.

Co nam mogą szkodzić dzieci, które muszą się przecież czymś zająć, kiedy na dworze jest brzydka pogoda? Powiedziałem jej, że nie przywiązujemy do tego znaczenia, ale tak czy owak, miała na względzie nasze dobro. Pamiętam też, jak mówiła, że to nie w porządku, że musimy spędzać noce bez świeczki.

– Jeśli ta istota współczuła nam z powodu braku świeczki, to przynajmniej raz miała rację – odparła Beatrice. – To jawna zniewaga, że zabrania nam się palić świeczkę w noce takie jak ta, mimo że ręce nie drżą nam bardziej niż innym. Podczas gdy są tacy, co noc w noc upijają się cydrem albo mają dzieci, które biegają jak szalone po izbie. Ale to nie im, a nam odebrano świeczkę i choć leżysz tuż przy mnie, Axl, prawie cię nie widzę.

– Nikt nie miał zamiaru nas znieważać, księżniczko. Tak po prostu zawsze postępowano i na tym koniec.

– Powiem ci, że nie tylko kobieta z twego snu dziwi się, że odebrano nam świeczkę. Wczoraj, a może to było przedwczoraj, mijałam kobiety nad rzeką i jestem pewna, że kiedy zdawało im się, że jestem zbyt daleko, by je słyszeć, jedna z nich ubolewała, że taka porządna para jak my musi co noc siedzieć po ciemku.

– Powtarzam ci, księżniczko: ona nie jest kobietą z mego snu. Wszyscy znali ją tutaj jeszcze przed miesiącem i każdy miał dla niej dobre słowo. Dlaczego wszyscy, łącznie z tobą, zapominają, że kiedykolwiek żyła?

Przypominając sobie tego wiosennego ranka tamtą rozmowę, Axl gotów był prawie przyznać, że mylił się co

do rudej kobiety. Był w końcu mężczyzną w podeszłym wieku i mogło mu się coś poplątać. Z drugiej strony historia z kobietą stanowiła tylko jeden z całego szeregu podobnych zagadkowych epizodów. Frustrowało go, że nie może sobie w tej chwili przypomnieć zbyt wielu, ale było ich więcej, co do tego nie miał wątpliwości. Weźmy choćby na przykład incydent dotyczący Marty.

Marta, dziewięć- albo dziesięcioletnia dziewczynka, zawsze cieszyła się opinią nieustraszonej. Jej żądy przygód nie zdołała powściągnąć żadna mroząca krew w żyłach opowieść o tym, co może się przytrafić wałęsającym się dzieciom. Dlatego gdy pewnego wieczoru rozeszła się wiadomość o zaginięciu Marty, wszyscy, zaniepokojeni, oderwali się od swoich zajęć. Do zmierzchu została mniej niż godzina, gęstniała mgła i na zboczach słychać było wilki. Przez dłuższy czas w całej osadzie rozbrzmiewały nawołujące dziewczynkę głosy. Wieśniacy przemierzali korytarze, przeszukując wszystkie izby mieszkalne, składziki i miejsca pod belkami sufitów, każdą kryjówkę, w której mogło się schować figlarne dziecko.

I nagle w trakcie całego tego rozgardiaszu z pastwisk na wzgórzach wrócili dwaj pasterze i zaczęli grzać się przy ogniu w Wielkiej Izbie. I kiedy tam siedzieli, jeden z nich powiedział, że dzień wcześniej widzieli strzyżyk-orła, który zatoczył nad ich głowami jeden, drugi, a potem trzeci krąg. Nie może być mowy o pomyłce, stwierdził pasterz, to był na pewno strzyżyk-orzeł. Wiadomość rozeszła się szybko po osadzie i wkrótce przy ogniu ze-

brał się tłum ludzi pragnących wysłuchać pasterzy. Dołączył do nich nawet Axl, bo pojawienie się w ich kraju strzyżyka-orła było rzeczywiście czymś nadzwyczajnym. Strzyżynom-orłom przypisywano szczególne właściwości, w tym zdolność odstraszenia wilków, i powiadano, że dzięki tym ptakom wilki zupełnie zniknęły z innych części kraju.

Z początku pasterzy pilnie wypytywano i kazano im po wielokroć powtarzać swoją opowieść. Po jakimś czasie wśród słuchaczy zaczął się szerzyć sceptycyzm. Ktoś wskazał, że wiele już było podobnych doniesień i za każdym razem okazały się niepotwierdzone. Ktoś inny przypomniał, że nie dalej jak zeszłej wiosny ci sami dwaj pasterze opowiadali podobną historię, lecz nikt poza nimi niczego takiego nie zobaczył. Zaperzeni pasterze zaprzeczali, by kiedykolwiek wcześniej mówili o czymś takim, i wkrótce tłum podzielił się na tych, którzy wzięli ich stronę, i tych twierdzących, że pamiętają podobny epizod z ubiegłego roku.

Spór coraz bardziej się zaostrzał i Axl zorientował się, że po raz któryś z rzędu ogarnia go dręczące poczucie, że coś jest nie w porządku. Zostawił pokrzykujących i przepychających się ludzi i wyszedł na zewnątrz, by spojrzeć na ciemniejące niebo i sunącą przy ziemi mgłę. Po chwili w jego umyśle zaczęły się z powrotem łączyć fragmenty układanki: przypomniał sobie o zaginionej Marcie, grożącym jej niebezpieczeństwie i o tym, że niedawno jeszcze szukała jej cała osada. Ale wszystko to coraz bardziej

się zacierało, w podobny sposób, w jaki zaciera się sen w pierwszych sekundach po obudzeniu, i tylko dzięki najwyższemu skupieniu Axl nie przestał myśleć o małej Marcie, podczas gdy ludzie w dalszym ciągu spierali się o strzyżyka-orła. I nagle, kiedy tam tak stał, usłyszał nucący coś dziewczęcy głos i z mgły przed nim wyłoniła się Marta.

– Dziwne z ciebie dziecko – powiedział Axl, kiedy podbiegła do niego w podskokach. – Nie boisz się ciemności? Nie boisz się wilków ani ogrów?

– Ależ boję się ich, panie – odparła z uśmiechem. – Ale wiem, jak się przed nimi schować. Mam nadzieję, że rodzice o mnie nie pytali. W zeszłym tygodniu porządnie dostałam w skórę.

– Czy o ciebie nie pytali? Oczywiście, że pytali. Nie wiesz, że szukała cię cała wioska? Posłuchaj, jak się tam kłóć. To wszystko przez ciebie, dziecko.

– Och, niech pan przestanie! – zawołała ze śmiechem Marta. – Wiem, że wcale nie zauważyli, że mnie nie ma. I słyszę, że to nie o mnie się tam kłóć.

Kiedy to powiedziała, Axl uświadomił sobie, że miała rację: ludzie wewnątrz wcale nie spierali się o nią, lecz o coś zupełnie innego. Nachylił się ku wejściu, by lepiej słyszeć, i kiedy dotarło do niego jakieś wypowiedziane podniesionym głosem zdanie, przypomniał sobie całą historię o pasterzach i strzyżyku-orle. Zastanawiał się, czy powinien spróbować to wyjaśnić Marcie, ale ona nagle go ominęła i weszła do środka.

Podążył w ślad za nią, oczekując, że powitają ją z wielką radością i ulgą. Szczerze mówiąc, liczył, że kiedy pojawią się tam razem, jakaś część chwały za jej bezpieczny powrót spłynie i na niego. Lecz kiedy weszli do Wielkiej Izby, wieśniacy tak zażarcie się kłócili, że tylko kilku z nich w ogóle zerknęło w ich stronę. Matka Marty podeszła do córki tylko po to, by ją krótko skarcić.

– Jesteś w końcu! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie włóczyła się po okolicy? – powiedziała, po czym ponownie skupiła uwagę na toczącym się przy ogniu sporze. Marta zaś uśmiechnęła się do Axla, jakby chciała powiedzieć „A nie mówiłam?”, i znikła w półmroku, żeby poszukać rówieśników.

Teraz w izbie zrobiło się wyraźnie jaśniej. Ponieważ mieściła się na samym skraju kolonii, miała niewielkie okienko, ale tak wysoko, że można było przez nie wyjrzeć, tylko jeśli stanęło się na stołku. W tym momencie było zasłonięte kawałkiem materiału, ale przez jeden z rogów prześwitywało słońce, rzucając promień dokładnie tam, gdzie spała Beatrice. W jego świetle Axl zobaczył coś, co wyglądało jak unoszący się nad jej głową owad. Po chwili zdał sobie sprawę, że to zawieszony na niewidocznej pionowej nitce pająk, który na jego oczach zaczął schodzić niżej. Axl wstał bezszelestnie ze stołka, przeszedł przez małą izbę, przesunął ręką nad śpiącą żoną i złapał pajęczka w dłoń. Następnie stał przez chwilę w miejscu i przyglądał się żonie. Na jej twarzy malował się spokój, który rzadko ostatnio widywał, gdy

nie spała, i zdziwiła go radość, jaką odczuł na ten widok. Uświadomił sobie w tym momencie, że podjął już decyzję, i ponownie zapragnął ją obudzić, po to tylko, by podzielić się z nią tą wiadomością. Po chwili uznał jednak, że byłoby to czymś samolubnym – a poza tym, skąd mógł wiedzieć, jaka będzie jej reakcja? Ostatecznie wrócił na swoje miejsce i siadając na zydlu, przypomniał sobie o pajęczku i otworzył delikatnie dłoń.

Siedząc wcześniej na ławce na zewnątrz i czekając na pierwszy brzask, próbował przypomnieć sobie, kiedy on i Beatrice po raz pierwszy zaczęli mówić o swojej podróży. Wydawało mu się wówczas, że pamięta pewną konkretną rozmowę, którą odbyli pewnej nocy tu, w tej izbie. Teraz jednak, obserwując, jak pająk schodzi po skraju jego dłoni na gliniane klepisko, uświadomił sobie ponad wszelką wątpliwość, że po raz pierwszy napomknęli o tym w dniu, kiedy nieopodal wioski przechodziła nieznajoma w ciemnych łachmanach.

Ranek był szary – czyżby działo się to jeszcze w listopadzie? – i Axl szedł biegnącą wzdłuż rzeki ścieżką, nad którą wisiały wierzbowe witki. Wracał szybkim krokiem z pola do domu, być może po jakieś narzędzie albo nowe polecenia od nadzorca. Tak czy inaczej, słysząc podniesione głosy dobiegające zza krzaków po prawej stronie, raptownie się zatrzymał. W pierwszej chwili pomyślał, że w pobliżu grasują ogry, i rozejrzał się szybko za jakimś kamieniem lub kijem. Potem dotarło do niego, że głosy – wszystkie kobiece – choć gniewne i przejęte, nie są jed-

nak przerażone, a tego właśnie należało się spodziewać, gdyby chodziło o napaść ogrów. Mimo to precyzyjnie zdecydowanie przez żywopłot z jałowców i wyszedł na polanę, na której zobaczył pięć kobiet – już nie pierwszej młodości, lecz nadal zdolnych rodzić dzieci – stojących razem w zbitej grupce, odwróconych do niego plecami i krzyczących na coś lub na kogoś w oddali. Dopiero gdy prawie się z nimi zrównał, jedna z nich dostrzegła go i podskoczyła przestraszona, a potem wszystkie obejrzały się i zmierzyły go beczelnym spojrzeniem.

– No, no – mruknęła któraś z nich. – Może to przypadek, a może coś więcej. Ale pojawił się w końcu mąż i miejmy nadzieję, że przemówi jej do rozumu.

– Powtarzałyśmy twojej żonie, żeby nie szła, ale nie chciała słuchać – dodała ta, która pierwsza go zauważyła. – Uparła się, że zanieś jedzenie tej nieznanym, choć najpewniej to jakaś diablina albo elfka w przebraniu.

– Czy moja żona jest w niebezpieczeństwie? Proszę, powiedzcie, o co chodzi, moje panie.

– Przez cały rano krążyła tu jakaś dziwna kobieta – wyjaśniła jedna z kobiet. – Z rozpuszczonymi włosami, w płaszczu z czarnych łachmanów. Twierdzi, że jest Saksonką, ale nie ubiera się jak żadna znana nam Saksonka. Próbowaliśmy podkraść się do nas przy brzegu rzeki, gdy robiliśmy pranie, lecz udało nam się ją dostrzec i przepędzić. Wciąż jednak wraca i zachowuje się tak, jakby coś ją bardzo zasmuciło, albo prosi nas o jedzenie. Próbowaliśmy chyba przez cały czas rzucić urok na twoją żonę, panie,

bo dziś rano już dwa razy musiałyśmy łapać Beatrice za rękę, tak bardzo chciała podejść do tego demona. W końcu wyrwała się nam wszystkim i poszła na górę, do starego głogu, gdzie siedzi teraz diablica i na nią czeka. Trzymałyśmy ją z całej siły, ale diablica najwyraźniej rzuciła już na nią urok, bo twoja żona miała moc niespotykaną u kogoś tak wątpliwego i sędziwego jak ona, panie.

– Przy starym głogu...

– Dopiero co tam poszła, panie. Ta kobieta jednak jest z całą pewnością diablicą i jeśli masz zamiar iść po żonę, uważaj, żeby się nie potknąć i nie skaleczyć o zatruty oset, bo rana nigdy się nie zagoi.

Axl starał się nie okazywać kobietom, jak go irytują.

– Jestem wam bardzo wdzięczny, moje panie – powiedział. – Pójdę zobaczyć, co takiego szykuje żona. Panie wybaczą.

Mianem „starego głogu” nasi wieśniacy określali pobliskie miejsce spotkań, a także samo drzewo głogu, które wydawało się wyrastać z gołej skały na skraju urwiska nieopodal osady. W słoneczny dzień, kiedy nie było wiatru, można tam było miło spędzić czas, podziwiając widok na pola, zakole rzeki i ciągnące się za nią moczary. W niedzielę dzieci bawiły się często między sękatymi korzeniami drzewa, a czasami skakały odważnie ze skraju urwiska, które było właściwie łagodnym porośniętym trawą zboczem, po którym śmiałek toczył się po prostu w dół niczym beczka, nie doznając przy tym żadnej szkody. Lecz w taki ranek jak ten, kiedy